

- Gdzie są rozkazy?! – wrzasnął wkurzony nie na żarty ithari fortu Soivelle. Od ponad tygodnia nie było widać żadnego gońca z miasta, nawet zasranego gołębia pocztowego nie było. Tymczasem Obręcz trzeszczała i w tej chwili czuli to już nie tylko ci, którzy byli wrażliwi na magię. Wibrowanie powietrza w całym przygranicznym obszarze było odczuwalne pomimo wszelkich zabiegów Sailo Atar, magów światła. Ostatnie tygodnie były najcięższymi, jakie pamiętał od początku oblężenia. Nawet Ayla Ruen, jeźdźcy nocy, ostatnio wrócili poranieni. Demony zrodzone z ziemi i śmierci, które jeszcze niedawno budziły w Qa taką grozę, że bywały przypadki, gdy ci uciekali w panice na pojawienie się nawet naturalnej mgły... A teraz wezwali swoich szamanów, kapłanów i inne tałatajstwo, zaklęcia rozpraszały magiczny opar, upiory nabierały realnych kształtów i przestawały być aż tak przerażające...

A teraz jeszcze to.

Ithari, niższy oficer, nazywał się Toveir z rodu Veidorn domu Taeleth i dowodził swoją gweith, czyli jednostką, od ponad pięciu lat, co czyniło go jednym z najbardziej doświadczonych na tym odcinku Obręczy. Otrzymanie tej funkcji w jego wieku, czyli 20 loa, było dość rzadkie, tym bardziej, że jego ród zaczynał się na nim, a kończył na dwójce jego dzieci i wnuczce. Kadra oficerska armii Cesarstwa, czyli Farea'tolu, liczyła łącznie niewiele ponad 150 osób na 10 tys rzeszę wojowników, co czyniło nawet najniższy stopień, jak ihtari, niezwykle zaszczytnym. A Toveir przybył do Caer tuż przed wojną, wraz z ostatnią falą uciekinierów z Aenthil, w przeciwieństwie do pozostałych oficerów, którzy w większości należeli do wiernej starej gwardii, tej, która na samym początku wyruszyła na dzikie Zapołudnie z cesarzem. Toveir dodatkowo ożeniony był z Laryjką, która nie wyrzekła się huanu i rzadko bywała w domu. Ich dzieci, Solya i Oteir, mieli odpowiednio 8 i 6 loa, i Solya, poślubiona leniwemu skutnikowi talsojskiemu, zamiast szlifować swoje zdolności łucznicze, próbowała w trudnych realiach przycięzionego wojną miasta zapewnić przetrwanie dla małej córki. Dla ihtariego prestiż przekładał się także na dodatkowe racje żywnościowe dla nich i na ewentualną wyższą rentę, za którą będą mogli żyć, gdyby poległ. Ale Toveir kochał ten trudny i niewdzięczny dom, błotniste ścieżki, ciężkie wilgotne powietrze, tę mieszaninę emocji, zapachów, kolorów i ludzi, jaką stanowiło Leth Caer, ta zadziwiająca przystań wygnañców, łącząca rzeczy niemożliwe do złączenia, istniejącą na przekór logice, strategii i polityce, istniejącą bardzo, całą esencją istnienia. A najcenniejszym elementem, diamentem wśród klejnotów, była jego mała wnuczka, Elderiel. Za jej spokojne dorastanie, za jej bezpieczny dom, był gotów głodować i cierpieć zmęczenie, zabijać i umierać po tysiącokroć, a jej wspomnienie zawsze bezbłędnie przywracało mu siły i wiarę.

Teraz także Toveir przetarł zmęczone oczy i od razu zaklął dziko, bo na wnętrzu rękawicy były okruszki prochu, które wściekle zapiekły go pod powiekami. No, ale przynajmniej nie był już senny.

- Lewaaaa! Z leweeeeej! – Ognisty pocisk z trebusza z wyciem przeciął powietrze, z rozbłyskiem i deszczem iskier roztrzaskał się o przezroczystą powierzchnię bariery, która zamigotała i zafalowała, dając znać, że ładunek niósł ze sobą także magię. Doświadczony oficer po intensywności migotania mógł jednak wnosić, że jest naprawdę źle.

- Daj mi tu gońca, tego, co przybiegł przed godziną. Tak, wiem, że zmęczony, odpoczywał całą godzinę. Raport do Catra Ara, Rady Magów, a najlepiej do samego cesarza. Priorytet zero, migiem...! – Wykrzyczał, przebijając się przez wycie kolejnych pocisków. Zignorował pełne wyrzutu spojrzenia. To był dwunasty goniec w ciągu ostatnich kilku godzin.

- Obręcz pęka ... - mruknął tonem usprawiedliwienia, zupełnie jakby wszyscy pozostali tego nie widzieli. – Sami sobie z tym...

- Od tego jesteśmy – przerwała mu sailo, magini światła, która dopiero co skończyła opatrywać tamtego gońca. - Od radzenia sobie z nieprzewidywalnym...

I wtedy pojawiło się nieprzewidywalne.

Zamiast kolejnego pocisku w falującą sferę uderzyła cisza. Była na tyle oryginalnym zjawiskiem, że wszystkie stanowiska zamarły w oczekiwaniu na jakiś dramatyczny atak, uderzenie jakiejś upiornej fali demonów, albo piekieł samych przestoczonych w kolejne ogniste pociski.

Ale nic nie uderzyło.

Ciszę oczekiwania przerwał róg sygnałowy i biała flaga, sygnalizująca pokojowe poselstwo. Toveir zastanawiał się przez chwilę, czy jednak nie posłać tam ładunku, ale się zmytygował.

- Nie jesteśmy barbarzyńcami... - mruknął bez szczególnego przekonania. Krawędź obręczy, obwarowana dodatkowo wałami i obszarem gęsto obsadzonej, magicznie wyhodowanej zieleni, pozwalała obserwować przedpole z wysoka, z dość szerokim kątem widzenia, zwłaszcza, że przedpole stanowił pas wypalanej i pustej ziemi, pokrytej głównie popiołem i pozostałościami po magii – krzemowym kurzem, opiłkami metali, prochem postalchemicznym i drobnutkim, gryzącym, słonym pyłem, unoszącym się w powietrzu nawet pomimo wszechobecnej wilgoci i codziennych deszczy. Nadchodzące poselstwo, jak zresztą każdy nadchodzący intruz, wzbudzało za sobą tuman tego pyłu, ale otoczone było jasną opalizującą sferą. Hu hu, kapłani... pomyślał ihtari. Qasyrańscy kapłani łączyli w sobie umiejętności północnych magów, kapłanów i szamanów, opierając swoje umiejętności o łaskę bogów uzyskiwali wszechstronne i rozbudowane umiejętności. Kapłani musieli eskortować kogoś ważnego...

- Kto przyjmie poselstwo?! – rozległo się u podnóża wału. Qasyrański herold trzeba przyznać miał głos jak dzwon. Za obręczą Toveir rozejrzał się dookoła i powtórzył:

- ... no fakt, kto przyjmie poselestwo? – Na posterunku nie było jednak nikogo z uprawnieniami dyplomatycznymi. Oficer zaklął brzydko. – Dobrze. Mamy jeszcze gońców? Wysłać do Estel po... po kogokolwiek! – klepnął w ramię mijającego go młodzieńca, jeźdźca z ruen'gweith – No dobrze... - westchnął, nabrał powietrza i krzyknął - Ja przyjmę poselstwo! Ihtari Toveir z rodu Veidorn z domu Taeleth.

Rozmowa trwała krótko. Po takich fanfarach i oprawie Toveir spodziewał się jakiegoś sensu, czegoś co miałyby znaczenie. Tak, nawet gdzieś w wyobraźni znalazł nawet te możliwość, że może to prośba o pokój...

- Przekażcie to temu, kogo przyślą z Rady... - mruknął do towarzyszy gdy wrócił, rzucając na ławę wartowni zwinięty nierówno list – To nic, to kolejna porcja grózb.

- To znaczy...?

- To znaczy, że potrzebujemy wzmocnienia Obręczy – odpowiedział nerwowo na pytania podwładnych. – To znaczy, że...

- Czy oni poprosili o rozejm do momentu otrzymania odpowiedzi...? - Ailiya była Sailo, magiem światła i medykiem, jednym z kilku służącym w tym gweith. W forcie Soivele mieli urządzony polowy szpital, który obsługiwał cztery sąsiednie odcinki obronne.

- Tak... - odpowiedział niepewnie, zastanawiając się nad wymową tego zdarzenia – Myślisz, że...

- Po co wysyłać żądania, które są niespełnialne i wiadomo, że są niespełnialne. Z jakichś powodów potrzebne im było wstrzymanie walki...

- Co jest ... - rozmowę prowadzoną w wartowni przerwał sygnał, zasapany goniec wpadł po schodach.

- Ihtari! Wydano rozkaz pełnej gotowości! – to był roythe, z oznaczeniami specjalnymi z fortu Estell, gdzie najwyraźniej w końcu potraktowano poważnie dramatyczne wezwania z granicy.

- No serio, bo już zamierzaliśmy iść na piwo... - zaczął ironicznie, ale posłaniec mu przerwał:

- Nie, panie! Na całej linii, od Aerthal do Okiroi, cała flanka północna i wschodnia! Idzie wielki atak, równoległy, z magią i wszystkim!

Obecni wojownicy i dowódcy wstali, słuchając w milczeniu i z powagą. Żarty utknęły im w gardłach.

- Gdzie jest Cesarz...? – wtrąciła się Ailiya.

- Nie wiadomo. Wraz z rendi Telanarem ponad tydzień temu byli na rozpoznaniu przy forcie Liveta, nie wrócili dotychczas. Tak, poszukiwania były – odpowiadał na bieżące pytania. – Nie, nie wiemy nic, nic nie znaleźiono. Tymczasowym dowódcą jest heselda Orumar. Tak, były rytuały wzmocnienia Obręczy, ale zaistniały problemy... Pani Noinier nie zdołała ustabilizować pasm, istniało jakieś przeciwdziałanie. Ale wciąż próbują. Zwiadowcy alarmują, atak jest szykowany wzdłuż całej linii... Qa spieszą się z czymś. Ihtari – roythe spojrział poważnie na dowódcę fortu - nie dajcie się zaskoczyć.

Zbiegł po schodach, z ciasnego dziedzińca dało się słyszeć prychnanie norimy, a w chwilę później mlaskanie kopyt na błotnistym gruncie.

Od kilku tygodni trwała intensywna ofensywa, w deszczu i błocie wszystkie jednostki gweith z praktycznie nie schodziły z barykad. Cała północno-wschodnia flanka wojsk, czyli zgrupowanie określane liyume, trwało w gotowości. Kilka tygodni temu całym Caer wstrząsnęła wiadomość o klęsce Kalidorei, a w chwilę potem gruchnęło, że nowo sformowana XX brygada Utzyao, maszeruje na południowy Larion. Wieści, napływające z gór z dużym opóźnieniem, pogłębiały tylko wrażenie dramatu – masakra południowych huanów wstrząsnęła obrońcami miasta na bagnach, tym bardziej, że na wschodniej flance służyło dziesięć tysięcy laryjskich wojowników, przysłanych tam rok wcześniej przez Savrę, która traktowała Caer jak wysuniętą rubież obrony południowego Larionu. Uderzenie na Takawai i Waitiri było jednak nie do zatrzymania przez dziesięć tysięcy ludzi – na górskie przełęcze ruszyła sformowana naprędce stutysięczna brygada na bazie ogłoszonego obowiązkowego poboru. Teraz ta armia zasiłała szeregi XIX brygady i rzucono ich na granice Caer. Wszyscy jednak czuli, że za tym atakiem idzie coś więcej. Słabnąca Obręcz, zniknięcie i cesarza i jego pierwszego dowódcy, osłabienie Ayla Ruen i ich magii... Wodzowie Farea'tol, armii Leth Caer, wysłali w teren wszystkich, nawet wojowników gwardii Ara Tirquen. W lasach przyczajeni czekali zwiadowcy, roythe, wzdłuż dróg rozłożone czekały niecierpliwie patrole konne. W gęstym od pyłów i drżącym od zakłęb powietrzu wisiało oczekiwanie na coś wielkiego.

- Idą – szepnęła Ailiya, przerywając ciężką, nerwową ciszę. Po zewnętrznej stronie Obręczy w półmroku zamajaczyły szeregi idące do szturm. Ihtari ruszył biegiem wzdłuż rozłożonych w terenie stanowisk. Rozkazy, które otrzymał od arpheny tego odcinka, już dawno przekazał swoim ludziom, teraz tylko podkreślał swoją obecność przy nich, uspokajał, podnosił morale.

- Utrzymać ich na dystans! – powtarzał – Równe salwy, trzymianowo, współdziałanie łuków z magią, nie odpuszczać, nie ustępować.... Czekać aż wejdą w obszar ostrzału! Spokojnie! Jeszcze nie! Wyznaczone jednostki – zdejmować kapłanów i gniazda many! Spokojnie....!

Szli. Obręcz drżała. Pierwsze uderzenia pocisków huknęły o magiczną sferę.

- Czekać!....

Zawyły mechanizmy trebuszetów.

- Jeszcze nie...!

Zaiskrzyły kręgi magiczne.

- Czekaaaa...!... TERAZ!

Powietrze pociemniało od strzał. Sfera Obręczy rozjarzyła się tysiącami rozbłysków, ładując energią zaklęte poprzez magię gwiazd strzały. W ślad za salwą zawyły w powietrzu smugi ognia, oślepiające kule i promienie.

Leth Caer odpowiedziało.

Elidis odczuł pęknięcie Obręczy tak, jakby to jego własna skóra pękała. Zmęczenie wielu dni niemal bez snu, całkowitego wyczerpania z many, wyziębienie, utrata krwi... Do przodu pchała go tylko zawziętość, cecha, którą sam czasem mylił z odwagą. Nie mógł, po prostu nie umiał odpuścić.

Kolejny korytarz, kolejne dotknięcie zimnej ściany, kolejny upadek w śliskie, lepkie błoto. Nie miał sił na wściekłość ani na rozpacz, jedno i drugie już się wypaliło. Teraz został już tylko zimny upór. I jakby w odpowiedzi pojawił się zapach. Ciepła, wilgotna woń zgniłych liści i ściółki.

Zapach bagien Moreinn. Jedyny i nie do pomylenia.

Podobnie jak nie do pomylenia było cichutkie prychnięcie, jakie dobiegło z korytarza przed nim. Ze zdziwieniem stwierdził, że widzi zarys ścian. Więc światło....

- Hisse... - szepnął, czując, że przyptyw nadziei za chwilę powali go na ziemię. Po ścianach echo poniosło stuk kopyt noirmiry po skale – Przyszłaś...

To była największa bitwa graniczna, jaką Toveir pamiętał. Nie on jeden odniósł wrażenie, że nie walczyli z ludźmi, tylko z żywymi trupami, wiedzionymi jakimś okrutnym zaklęciem. Wrażenie było tak dojmujące, że ktoś potem nawet na ciałach zabitych próbował sprawdzać, czy to przypadkiem nie jest prawda.

Po trzeciej dobie Wielkiego Szturmu zaczęły przychodzić wieści. Padł sąsiedni fort graniczny Liveta, nie wiadomo jaka ilość wojowników Qa wdarła się do wnętrza obręczy. Ten wyłom zamknęli styryjscy muszkietierowie. Z setki tercjeros pod komendą furyera Istebio zostało pięćdziesięciu, ale utrzymali. Tym niemniej wszystkie oddziały graniczne zostały zmuszone do podziału sił, by chronić także swoje plecy. W lasy ruszyli roythe i Alya Ruen, by oczyścić teren...

Gdy wstawał czwarty świt bitwy, główną myślą, jaką Toveir był w stanie sensownie ułożyć, było to, że mała ma dziś urodziny i że obiecał jej przecież że będzie... nawet załatwił sobie przepustkę na ten dzień.

Czwartego wieczora wytrzymałość obrońców sięgnęła granic, a nie było już nikogo, kogo mogli wezwać na pomoc. Walczył cały Farea'tol, na ten odcinek granicy wezwano posiłki z południowej linii, ryzykując ekstremalnie jakiś taktyczny wybieg i wdarcie się od strony opuszczonych posterunków. Na walczącym odcinku walczyła gwardia cesarza, walczyli salio atar, magowie światła, walczyli roythe, gwiazdni łucznicy. Do walki poszli upiorni Alya Ruen, dziki gon, jeźdźcy mgły. Poszli jeźdźcy i zaplecze. Po dwóch dobach ogłoszono tu roimera, czyli wspólną akcję całej armii, wyjątkowe wydarzenie o najwyższym możliwym priorytecie. Ogłoszono też błyskawiczną mobilizację ludności.

Wraz z elfami walczyli Styryjczycy, za którymi kroczyła Szkarłatna Mgła, zjawisko, o którym mówiono, że wraz z nim przychodzą upiory bogini by zabijać za Styrię i swoją Panienkę. Niektórzy podobno widzieli samą Tavar w krwawej sukni za plecami szeregow.

Całą wschodnią trzymali flankę Laryjczycy, potężny kontyngent o liczebności takiej, jak cała pozostała armia Caer razem wzięta.

Byli nieliczni Wergundowie i Talsoi.

Były także tawaniem, kapłanki i medyczki. Ich polowy lazaret fortu Soivelle już dawno przestał być lazaretem, przekształcając się w błyskawiczną manufakturę, z pomocą klasycznej medycyny i chirurgii magowie ratowali co się da, brodząc w krwi i wydzielinach. Dziedziniac, a właściwie większość miejsc, gdzie można było choć na chwilę schronić się przed gradem ognia, pocisków i wyładowań, zajmowali ranni.

Ihtari gdzieś około czwartego wieczora zdał sobie sprawę, że w szpitalu, w dołach na trupy i na dziedzińcu leży kilkakrotnie więcej wojowników niż walczy na Obręczy. I że chyba nie zdąży na urodziny wnuczki.

A piątego dnia, a właściwie przed świtem, Obręcz zaczęła pękać.

Najpierw pojawiły się pęknięcia i jasne rysy przypominające włosy. Potem rozrosły się na kształt błyskawic, ogarniając całość sfery. Potem zaczęły iskrzyć. Potem huknęło wielkie wyładowanie.

A potem nadeszła śmierć.

Tak sądzili.

To już nie była walka, tylko desperacja. Wojownicy walczący gołymi rękami, zębami niemalże, nieprzytomnie, jak we śnie, powalając kolejnych, zdziwionych młodych Qa, po których przychodzili następni i następni....

Godziny przestawały się liczyć, podobnie jak rany, pojęcie rannych w ogóle przestało istnieć, ludzie na rubieży dzielili się na walczących i martwych. Granica fizycznej wytrzymałości została przekroczona już wielokrotnie.

Toveir niewiele pamiętał z tamtych chwil, poza przytłaczającym, pożerającym wszelkie emocje zmęczeniem. Gdy ogień i huk magii za plecami atakujących zasygnalizowały, że coś się dzieje, właściwie zignorował to. Jedyne, co do niego dotarło, to to, że Qa przez chwilę przerwali natarcie i może usiąść... Usiąść i tak zostać, na zawsze najlepiej.

Gdzieś w dole, za wałem ciał, których Qa nie nadążali odciągać, za pasem ognisk wyznaczających linię tymczasowych obozowisk, uniósł się krzyk. Gdyby Toveir był w stanie myśleć, rozpoznałby charakterystyczne okrzyki bojowe, albo chociaż to, co zaskoczeni Qa krzyczeli w strachu. Zdrętwiałe palce, trzymające miecz, nie chciały się rozprostować. A może to krew zakrzepła tak, że sklepiła dłonie z rękójescią. Nie czuł ich, podobnie jak licznych ran, zdartego kawałka skóry na przedramieniu, pękniętego obojczyka, zgruchotanych kości stopy czy poparzenia na twarzy. I rany w podbrzuszu, która naruszyła tętnicę. Podobnie jak wszyscy pozostali na tym odcinku tego, co zostało z Obręczy, był jednolicie pokryty krwią, błotem i spalenizną, niemal głuchy i niemal oślepiiony.

- Idą... - szepnął ktoś, oparty o to samo drzewo z drugiej strony. Toveir pomyślał, że to mogła być Ailiya, ale chyba widział chwilę temu jej ciało, jak spadło bezwładnie na drugą stronę wału. Może to był więc ktoś inny. Toveir bardziej zdziwił się, że to usłyszał, bo sekundę wcześniej zdecydowanie zanotował urojenia, miał wrażenie, że słyszy prychnięcie noirimy od strony obozu, a możliwość, że jakiś bagienny jeleni przetrwał ostrzał i nie uciekł, była żadna. Zignorował prychnięcie.

Faktycznie szli. Jakiś oddział, nie zważając na tumult na własnym zapleczu, wdierał się na wał przez trupy swoich współtowarzyszy. Qa byli znacznie mniej zmęczeni, jako że wciąż przybywały świeże posiłki, nowa krew do przelania. Toveir wiedział, że powinien się podnieść, zmusić jeszcze raz do uniesienia broni, do wysiłku mięśni i oczu. Zamiast tego patrzył, jak młodzieńcy wskakują na szczątki obwarowań, jak błękitne rozbłyski magii roztrącają na wpół żywych obrońców, a w ślad za nimi ze złowrogim, jakże znajomym świstem uderzają potężne, okute żelazem macahuitle.

- Przepraszam, Eldi... - szepnął, patrząc na unoszącą się nad nim broń. Gdzieś za napastnikiem mignęła twarz wnuczki, jej zielone oczy... Wysiłek wzrok. Coś błysnęło zielenią i wojownik przed nim runął bezwładnie. Światlista, intensywnie zielona linia rozciąła przestrzeń.

Wstań, musisz wstać... Elderiel z uśmiechem wyciągnęła rękę....

Ihtari podniósł się na kolana, podpierając się ostrzem. Kilkakrotnie zacisnął i otworzył powieki, by skupić wzrok. Postać na krawędzi mroku zdawała się upadać i podnosić, chwiać i znów upadać, ale świetlisty promień z jej rąk unicestwił ostatni atak Qa. Sztywno, powoli wyprostował się, oparty o drzewo. Obok niego zbiegali już inni, znów zobaczył Ailię, więc może to nie ona jednak padła w walce.

- Wasza Wysokość... - bez trudu rozpoznali tę postać, nawet gdyby nie wylegitymował się zaklęciem promienia. W świetle pochodni Toveir z trudem rozpoznał swojego władcę, pomimo, że na wpół przytomnego przenieśli go tuż przed jego nosem. Skąd cesarz wziął się w tym miejscu, dlaczego wyglądał jakby przeszedł z nimi ten kilkudniowy bój na barykadzie... Nie było odpowiedzi. Umazany w białawej glinie płaszcz i wysokie buty, poszarpane ubranie, twarz poorana ranami, z których krew skleiła brodę w jeden sztywny strup... Trudno było z tego coś wywnioskować. Zresztą, Toveir nie był pewien czy na pewno to widzi. Usłyszał jeszcze tylko okrzyki z drugiej strony wału.

-Widziałeś, dziadku? Chorągwie górskich elfów! Laro przybyło....

- Widziałem, kochanie. Eldi, nie powinno cię tu być... Przepraszam cię, maleńka... Miałem...

- Nie szkodzi, dziadku. Wszystko jest w porządku. Wszystko już zawsze będzie w porządku.

- Złap mnie za rękę, Eldi... Elderiel, powiedz ... swojej mamie...

- Powiem... Już dobrze. Śpij, dziadku. Wszystko skończone. Wygrałeś.